

Na Podhalu

Antoni Kroh

Moja babcia była uczennicą carskiego gimnazjum w Zgierzu. Uparła się dalej studiować, przetrzymała rodzinne perswazje i wyjechała za granicę, do Krakowa. W tamtych czasach student płci żeńskiej, to był rzadki ptak; babcia wspominała, jak pewien pan profesor, rycerski wobec dam, ale nie tolerujący ich na uczelni, spytał z wyszukaną uprzejmością, czy nie obito jej się o uszy nazwisko, najmocniej przepraszam że ośmielałem się Łaskawą Panią fatygować, Adam Mickiewicz. Wyjaśniła lodo-watym tonem, że owszem, obito, pan profesor zachwyił się jej niezwykłą jak na kobietę erudycją i wyjął: nie chciałbym być natrętnym, ale skoro Czcigodna Pani zdecydowała się zostać adademiczką, to może byłaby Pani tak uprzejmą natężyć pamięć i wymienić ze trzy utwory tego poety... Uczyniła zadość jego prośbie, wpadł w ekstazę, wpisał stopień celujący i w lansadach odprowadził do drzwi. Babcia bardzo chciała się nie rozpłakać i prawie jej się to udało. Inny znowu pan profesor oznajmił z katedry, że skoro damy wyświadczyły mu ten zaszczyt i raczyły uświetnić jego wykład swoją uroczą obecnością, to on uważa za swój obowiązek zmienić temat, albowiem musi wyjaśnić, jak odróżnić grzyby trujące od jadalnych, by Czcigodne Słuchaczki nie wymordowały swoich przyszłych mężów. Tenże profesor (nie wiem, jak się nazywał) zwracał się do mojej babci per „Jaśnie Oświecony Pan Anna Bobińska”.

Dziewczęce przyjaźnie, zadzierzgnięte w takich warunkach, trwały do późnej starości.

Przyjaciółka mojej babci miała na imię Malwina. Została nauczycielką, wyszła za pana Doborzyńskiego. Mieszkali w Warszawie, a pod koniec lat dwudziestych wystawili sobie letni dom na zupełnym odludziu, w Bukowinie. W ciągu niedługiego czasu Bukowina z zapadłej dziury przeistoczyła się w modne letnisko. Bukowinę Tatrzańską – za sprawą niewielkiej grupy społeczników, między innymi państwa Doborzyńskich.

W końcu lat czterdziestych pani Doborzyńska była wdową i mieszkała w Bukowinie na stałe. Ja miałem sześć lat, dusiła mnie astma i nie bardzo było wiadomo, co ze mną robić; Mama po śmierci Ojca musiała iść do pracy, a Babcia miała wojenną gruźlicę oraz parę innych chorób.

Nie wiem, jak dorośli porozumieli się w mojej sprawie. Pewnie pani Doborzyńska sama wyszła z propozycją; podczas wojny pracowała w tajnym nauczaniu, po wojnie była na Olczańskim Wierchu spolegliwą sąsiadką, robiła zastrzyki, doradzała w rozmaitych sprawach, pomagała góralskim dzieciom w nauce, bo po prostu taka była. No, i wzięła sobie na głowę nadwrażliwego, chorego miejskiego dzieciaka, jakby to był jej wnuk.

Mieszkaliśmy w Bukowinie, z przerwami, między szóstym a czternastym rokiem życia – wtedy, gdy człowiek jest najchłonniejszy i wszystko co najważniejsze się w nim odkłada. Chodziłem tam do piątej, szóstej i siódmej klasy.

Zawieźli mnie, zostawili. Nic nie rozumiałem, ale jedno wiedziałem na pewno: nienawidzę wszystkich i wszystkiego. Droga przed domem była jednym wielkim grzęzawiskiem; od jesieni zamarznęta, zgrudzona, nogi wpadały w koleiny, nie dało się chodzić, płakałem. Dom aż kołysał się od wiatru, wszystko świstało, trzeszczało, wyło przeraźliwie, gałęzie szamotały się w świetle księżyca. Mówiono że to hałny, który zrywa dachy, łamie drzewa, a człowieka może zwyczajnie porwać i cisnąć gdzieś daleko. Po cóż więc mieszkać w takiej strasznej okolicy? O ileż lepiej w Warszawie, gdzie jest tyle przytulnych ruin do zabawy. Dom w porównaniu do naszej warszawskiej kochanej ciasnoty wydawał mi się bezsensownie przeogromny. Trzy wielkie pokoje na górze stały puste. Po co je budowano, skoro nikt w nich nie mieszkał? Weszłyby tu ze trzy

rodziny przecież. Drobna, siwa pani powiedziała, żebym mówił do niej „Babuniu”. A to niby z jakiej racji. Więc na początku zwracałem się do niej pokrętną składnią, bezosobowo. Dopiero po dłuższym czasie awansowałem ją na Babunię.

Dzieci sąsiadów mówiły niezrozumiale i zachowywały się dziwacznie. Ale już podczas pierwszej zabawy zrozumiałem, że to ja jestem dziwaczny, natomiast oni normalni – z tej oczywistej przyczyny, że ja jestem sam, a ich kilkanaścioro. Język, ubranie, pochodzenie, zachowanie, nazwisko – wszystko, czego dotychczas używałem na co dzień, kompromitowało mnie, zdradzało mnie obrzydliwie, szydziło ze mnie. Na przykład – dotychczas „wychodziłem na grubo” albo „na cienko”, tutaj dzieci po prostu srały albo jsały, przykucnąwszy gdzieś, niespecjalnie się kryjąc. Gdy ktoś naginało się do mojej polszczyzny, reszta wybuchała śmiechem. Śmiech jest o wiele gorszy niż bicie. – Jako się pises? – Zwyczajnie, piórem. Śmiech. – No, jako cię wołają? – Raz głośniejszy, raz ciszej. Śmiech. Więc urzędowo: imię i nazwisko? Nazwisko mam obco brzmiące, czyli głupie i śmieszne. Co robić? Przyznać się, powiedzieć Krouu, bo tak należy moje nazwisko wymawiać, czy ratować się kłamstwem? Jak się odtąd nazywać – Krok, Kruk, Król? Co robię w Bukowinie, gdzie moi rodzice? Wyjaśniam, że tatuś zginął w wypadku, a mama mieszka w Warszawie. – A jak zginął? Zadowolony, że wreszcie mogę czymś się pochwalić, opowiadałem: ciężarówka się wywróciła kołami do góry i go przygniotła. – A to cymu nie hipnon w bok? Nas tato nie byłby taki głupi!

Ale się przecież z nimi zaprzyjaźniłem. Trzeba się było czymś wkupić do towarzystwa, więc sporządziłem machajkę. Taką machajkę, daleką krewną kościelnej kadzielnicy, miał każdy chłopak u nas na Bielanach. Była to puszka po konserwie uwiązana na drucie. Dno należało podziurawić dla dostępu powietrza. Do machajki wpychało się kawałek gazety, tekturę, patyki, podpalało się i machało nad głową. Dym układał się w piękne esy floresy, czasem buchnął płomień. Kilku chłopaków z sąsiedztwa pod moim fachowym kierownictwem sporządziło sobie machajki; machaliśmy wesoło, w ustronnym miejscu, za stodołą pełną słomy. Na szczęście ktoś zauważył, więc nie było tragedii, a zaledwie awantura i sporo regionalnych przekleństw, z których najbardziej zainteresowały mnie „basamazania” i „basamakutia”, bo ich nie znałem. Znakomite przekleństwa, egzotyczne i miejscowe zarazem, nadawały się do użytku w domu – za psiakrew i cholere byłem tępiony, a za to nie, bo dorośli myśleli, że to taka sobie dziecięca pogaduszka. Znacznie później dowiedziałem się, co to znaczy i że to z węgierskiego. Sąsiad nazywał się Kuruc; gdy po latach przeczytałem, kim byli kuruce, w jednej sekundzie doszedłem do ściśle naukowego wniosku, że przekleństwa i nazwisko to pamiątka bukowiańskich Kuruców po ich maziarskich przodkach, którzy po klęsce Wiosny Ludów schronili się w tatrzańskich puszczy. Ta łatwość wysnuwania wniosków i poczucie satysfakcji, płynące z niezłomnej wiary, że to, co właśnie wymyśliłem, jest obiektywnym faktem, czyniła ze mnie dobrego materiału na humanistę.

Drugi sąsiad nazywał się Rusin. To nazwisko często spotykane w Bukowinie; jest także Rusiński Wierch i Rusinowa Polana. Gazda Rusin strzygł owce, więc i dziecko potrafił ostrzyć. Żeby było równo, wsadził mi na głowę donicę i obciął, co wystawało. Wyświadczył mi tym przysługę, bo od tej pory nie wyróżniałem się tak okropnie, przynajmniej pod względem fryzury. Ale moim pierwszym uczuciem do sąsiada Rusina nie była wdzięczność.

Sąsiad Rusin miał córkę Hankę; zawdzięczam jej aforyzm, który towarzyszy mi przez całe życie. Gdy kończyliśmy zabawę

o wiele później niż należało, Hanka bała się wracać do chałupy. Przystawała, miała bardzo ważne rzeczy do powiedzenia, nie śpieszyło jej się do awantury i lania. Aż nadchodził moment twardej decyzji; brała się pod boki jak dorosła gaździna i mówiła z determinacją: „coz mi zrobiom? Przecie mnie nie zjedzom. A jak mnie zjedzom, to mnie wyszajom”. Otóż to.

Za oknami werandy rozciągała się szeroka na cały horyzont panorama Tatr, od Szalonego Wierchu i Płacziwej Skały na wschodzie aż po Giewont, Osobitą i dalej ku zachodowi. Na ścianie wisiała, przybita gwoździami tapicerskimi, fotograficzna składanka „Panorama Tatr z Bukowiny”, z nazwami szczytów i wysokościami. Wysokości mnie nie obchodziły, ale szczytów nauczyłem się na pamięć i recytowałem je bezbłędnie, tyle że od prawej ku lewej, wskazując ręką od lewej ku prawej; składanka wisiała w kącie, nie mogłem równocześnie patrzeć wte i wewte i porównać obrazka z tym, co widziałem za oknem. Ale od czegoż intelekt; opierając się na informacjach z pewnego źródła, a ich niedosyt zastępując stanowczością, nazwałem Giewont Szalonym Wierchem, Płacziwą Skałę Małotałczniakiem itd., na sztuki się zgadzało. I oto zdumiona rzeczywistość podporządkowała się mojej woli – Łomnica stanęła tam, gdzie ją postawiłem. Lecz nie na długo. Ciocia Rysia, Babunia, chłopcy, wszyscy śmiali się z moich dokonań; najpierw obrazłem się śmiertelnie, ale potem, co było robić, ustąpiłem i przewartościowałem mój dorobek, dopasowując szczyty do ich nazw po raz drugi. Paskudna robota.

O wiele płynniej recytowałem nazwy szczytów, gdy Tatry były zasnuwane mgłą, a już zupełnie wspaniale, gdy w pobliżu nie było Kazia ani Jurka, którzy byli ode mnie starsi i zdrowsi, chodzili po Tatrach naprawdę, więc znali je nie tylko z fotografii. Za to miałem chwile satysfakcji, objaśniając panoramę przypadkowym letnikom. Robiłem to płynnie, trochę niedbale, czasem z bolesną zadumą, dając do zrozumienia, że na tym właśnie szczycie ocierałem się o śmierć. A gdy proszono o szczegóły, odpowiadałem że ach nie, lepiej nie wspominać. Takie zachowanie dwunastoletniego chłopca było chyba przede wszystkim zabawne, ale nie przypominam sobie, żeby ktoś moje popisy oblał zimną wodą – zwłaszcza, że mówiłem gwara; w tamtych stronach zapotrzebowanie na regionalnych kabotynów jest przegromne. Opowiadano w Zakopanem o panu, który żył z pogadankę w domach wczasowych, że gdy się spóźniał, a często się spóźniał, wpadał na salę zasapaną, spazmatycznie wyrzucając z siebie urywane sylaby i rozpaczliwie chwytając powietrze: ach – bar – bar – dzo przee – praszam, ach moment, bardzo Państwa przee – niech odsapnę, – praszam, ale właśnie wracam z Zamartej Turni, byłem na akcji, zdej – mowa – liśmy rannego taternika... To zawsze robiło wrażenie, większe niż cała reszta pogadanki. Nieważne, że pan prelegent miał pod pięćdziesiątkę, brzuszki i teczkę, więc wyglądał jak urzędnik z karykatury. Nieważne, że całe tubylcze Zakopane się zaśmiewało. Ważne, że spełniał doniosłe zapotrzebowanie społeczne.

Ubrany byłem i pachniałem jak inne dzieci, mówiłem gwara jak one, ale przecież gwara nie była moim domowym językiem, a tylko zręczną bujdą, czułem to nieustannie. Mogłem bez trudu udawać górala i wielokrotnie to robiłem, ale tylko wobec ludzi dółskich – bo każdy góral zaczynał rozmowę z nieznanym dzieckiem od: cyjś ty? Ka siedzis? Letnika nie obchodziło, w której chałupie siedzę, bo letnik chałup nie rozróżniał; góral musiał dzieciaka natychmiast umiejscowić.

W ogóle dosyć wcześniej zauważyłem, że co innego być góralem między góralami, a co innego między panami, że to drugie jest łatwe, przyjemne i może dawać profity. Dla letnika góral, to człowiek mówiący gwara, ubrany jak miejscowy i w ogóle wyglądający na miejscowego – a dla górala góral, to Jasiek albo Józek, o którym dokładnie wiadomo, ka siedzi, jako się pise, jako na niego wołajom i kielo mo krów.

Pamiętam, sterzę sobie w Bukowinie pod łądzianią, nie mam ani grosza, a przy drodze stoi piękna taksówka (tak nazywaliśmy każdy samochód osobowy), w taksówce rozparł się pon, liże loda, otworzył se radio i słucha koncertu skrzy-

cowego. Nie wiem, jak to się stało, zdaje się, że dawni poeci nazywali to natchnieniem; podchodzę do pana i słyszę swój głos, jakby mówił ktoś obcy: słuchajcie panie, ka trzymacie tego muzykanta? W kufrze? Pan patrzy na mnie i już wiem, że jestem góra. – Toś ty nigdy nie widział radia? – Co godocie? A co to za kołoc? – To lody, nie kołacz – wyjaśnia pan z pokorą. – Teloście panie durny, co raty. Dy przecie lody som zimom, na Białce. I stało się: pon wysiada z taksówki, kupuje porcję za całe trzy złote, wręcza mi i patrzy łapczywie, jak jem. Bardzo wtedy zyskałem w oczach kolegów.

Wedle norm obyczajowych schyłku XX wieku prawdziwy hrabia powinien być wolny od przesądów i odnosić się ze światłą dezynwolturą do herbów, fumów, sygnetów, antenatów, paranteli itp. przeżytków. Stać go na to – pod warunkiem, że jest prawdziwym hrabią, nie farbowanym. Cóż więc się dzieje, gdy na pogrzebie prawdziwego Potockiego przepycha się do katafalku, lejąc gorzkie łzy, fałszywy Potocki? Jak to, co się dzieje. Wszystkich prawdziwych Potockich cholera trzęsie. Przed laty czytałem w gazecie o takim wypadku. Ten fałszywy Potocki nawet sprawił sobie sygnct z hrabiowską koroną. – Pokaż no ten sygnct, kochasiu – rozkazał prawdziwy Potocki; korona miała dziesięć patek, choć każdy głupi wie, że prawdziwa korona hrabiowska powinna mieć dziewięć. – Ta dziesiąta palka, to ty! – powiedział odpowiednim tonem prawdziwy Potocki, więc intruz otarł łzy po swym zmarłym fałszywym krewniakowi i poszedł. Zaś my, obywatele, zadajmy sobie pytanie: a cóż by to panom Potockim szkodziło, że jakiś nieszczęśnik popłakałby sobie nad ich trumną, czemuż to nie zdobyli się na odruch wielkopańskiej pobłażliwości?

Za moich młodych lat podobnie rysowała się sprawa góralskich portek. (Teraz jest inaczej). Góralowi wolno było paradować w garniturze, a niechby i we fraku, jego góralska honorność na tym nie traciła (przykładem p. Bachleda, śpiewak operowy). Góral nie musiał nosić góralskich portek; bo i tak był góralem. Magistra Obrochtę stać było, żeby publicznie oznajmić, że nie sprawi sobie góralskich portek, bo nie jest Indianinem i nie będzie siedzieć w rezerwacie. Góral może sobie te sprawy lekceważyć. Pod warunkiem, że jest niewątpliwym góralem. Ale człowiekowi dółskiemu wara od portek. Nie ma do nich moralnego prawa.

Już stary Witkiewicz pisał, że w podhalańskich portkach „jest szczególna moc obyczajowa i szczególnie czar elegancji i piękna. Jak panowie, przebierając się za Górali, zaczynają od włożenia cyfrowanych portek, tak dla Górala przebierającego się za pana, ostatnią rzecz własną, którą z siebie zrzuca – są portki.”

Pewnie, że tak. Tylko jeden raz w życiu miałem na sobie prawdziwe portki podhalańskie. Śmierdziały naftaliną, bo pochodziły z magazynu Muzeum Tatrzańskiego. Nie spadły ze mnie podczas fotografowania jedynie dlatego, że były straszliwie ciasne i ostre jak papier ścierny, więc trzymały się właściwych sobie rewirów siłą tarcia, funkcjonując wedle tego samego prawa fizyki, co bębny hamulcowe w samochodzie.

Staszek był zakopiańczykiem w trzecim albo czwartym pokoleniu, całe życie mieszkał w Zakopanem; gdy chciał, mówił gwara jak góral, znakomicie śpiewał po góralsku, miał bogaty repertuar góralskich dowcipów, nosił na swetrze przewodnicką błachę i błękitny krzyż. Ale nie był rodowitym góralem, co nieustannie mu wypominał Józek Krzeptowski, słynny kurier i przewodnik, potomek Sabaty, idol Staszka i może nawet jego przyjaciel. O Józku krążyły po Zakopanem anegdody, z których wynikało, że bardzo lubił ludziom okazywać, że ma ich gdzieś, koniecznie w ten sposób, by rozmówca czuł się zaszczycony, że sam Józek Krzeptowski osobiście ma go gdzieś. Im kto bardziej kochał góralszczyznę, tym głośniej powinien śmiać się z tych dowcipów. Staszek miał nad łóżkiem fotografię Józka, wielbił go i z dumą obnosił jego lekceważenie. Mechanizm zjawiska był logiczny, czyli bezdenne głupi: Staszek kochał góralszczyznę, czuł się góralem i dlatego musiał przyjąć góralskie kryteria, wedle których góralem nie był. Im bardziej był góralem, tym bardziej nim nie był; mitość do

góralczyzny przeszkadzała mu być pełnoprawnym góralem. Naturalnie, w życiu sprawa nie wyglądała tak dramatycznie, istniała sobie i tyle; ale gdy Staszek umarł, okazało się, że miał w szafie góralskie portki, które sobie kupił, chociaż klepał biedę, ale w których ani razu nie pokazał się na ulicy. Nawet rodzina o tych portkach nie wiedziała.

O tym, że w góralskich portkach jest szczególna moc obyczajowa, nie musiałem się uczyć od pana Witkiewicza. Ja te sprawy przerabiałem w praktyce. Pamiętam, pięćdziesiąty trzeci rok, trwa lekcja, pani nam tłumaczy że atom jest niepodzielny, bo tak miała w podręczniku fizyki, a była lekcja fizyki, nie historii, za oknem Hawrań, nad Hawranem czarne chmury, aż tu wpada do klasy pan kierownik Ostrowski. Nie mówi dzień dobry, tylko krzyczy i wywija pięścią, że któryś chłopak rzucał kamieniami w izolatory dopiero co zamontowane, cała Bukowina jest bez prądu i bez telefonu. – Gdyby tak twoja matka teraz umierała i trzeba było wezwać pogotowie, gdyby twoja gazdówka się paliła, baranie jeden z drugim, a czy wy wiecie cymbały, jakim dobrodziejstwem jest elektryfikacja wsi, jakim wielkim osiągnięciem Polski Ludowej, ile to kosztuje, ile krajowi potrzeba izolatorów, już jedzie milicja i niech ten sabotażysta nie myśli, że mu się uda, władza ludowa nie daruje itd.

Zadzwoił dzwonek, wyszliśmy ze szkoły. Idziemy drogą w górę wsi, gadamy o swoich sprawach. Pod kapliczką siedzi Michał, starszy od nas o kilka lat.

– Cy to ty, Mihale, ozduplicyłeś ten lekstryke? – zagadnął obojętnym tonem Stasek, obecnie dziekan wydziału chemii.

– Ne dy jo. A bo co?

– A bo kierownik strasnie dar kufe.

– Niekze ta.

– Godoł, ze jedzie milicja.

– Niekze ta. Niek ino ftóry z wos cosi powie, to go podpole – przypomniał dla porządku Michał, chociaż wiedział, że każdy z nas doskonale o tym wie, więc można liczyć na naszą dyskrecję.

– A cymuś to, Mihale, ozduplicy? – zasięgnął informacji Marek, który później został wybitnym fizykiem, pracował w Dubnej pod Moskwą, a dziś mieszka na Mokotowie.

– Wiys, Marecku, jako ci to pedzieć. Ni mógek strzymać. To przecie strasnie brzyckie, takie biote na hałupie. I te słupy tys strasnie brzyckie. Godom ci, telo brzyckie, telo brzyckie – Michał zastanowił się, jakiego by tu użyć porównania, aby wyrazić cały swój wstręt – godom ci, widziało się, jako by hań drogom sę Bierut w góralskich portkach.

Nie wiem, co stało się z Michałem i jego wrażliwością estetyczną. Robiłem konkursy plastyki ludowej, miałem wielu twórców w ewidencji, ale jego nie. Szkoda, że nikomu nie wpadło na myśl zorganizować Biennale Konceptualizmu Ludowego Karpat Polskich. Michał miałby znaczne szanse. Aczkolwiek konkurencja byłaby silna.

Latem po sąsiadach mieszkali panowie z dziećmi. Niektórzy wyobrażali sobie, że skoro płacą za mieszkanie, obiady itd., to my, dzieci miejscowe, mamy obowiązek słuchać ich poleceń, w szczególności bawić się z ich dziećmi. Rzecz jasna, bawić się tak, jak tamte dzici sobie życzą, a dokładniej mówiąc, jak matki sobie wyobrażają, że ich dzieci sobie życzą. Szczególnie skrzyntna była jedna pani z Warszawy, matka Jędrka. Skrzyntna znaczy namolna albo nachalna, dziś mówi się upierdliwa. Może nawet dla świętego spokoju przyjąłbyśmy Jędrka między siebie, ale on się absolutnie do niczego nie nadawał. Siano było dla niego klujące, woda w potoku zimna, grapy strome, zabawa z kopaniem się w tyłek nieatrakcyjna, ludzkiej mowy nie rozumiał, bał się krów, nie lubił dosiadać barana, wczepiać mu się z całej siły w sierść ani z niego spadać, więc po chwili szedł do matki z płaczem albo nawoływał nas bezradnie. Matka skarżyła na nas, próbowała mediacji, przekupstwa, mówiła wam, strasznie była skrzyntna. Aż wymyśliła. Pożyczyła od starego Kuruca świetalne portki i na białych długich kalesonach Jędrka starannie odwzorowała parzenice. Rankiem ubrała syneczka w te gatki i przyprowadziła między nas. Nie będę opisywał co

było dalej, jeszcze dzisiaj mi wstyd.

Wieczorem, na werandzie Babuni, dorośli opowiadali zaśpianą gdzieś historię sprzed kilku lat o Jašku, chłopczku bodaj dwunastoletnim, czyli moim rówieśniku, który był ozdobą dziecięcego zespołu regionalnego: tańczył, śpiewał, wywijał ciupagą, opowiadał razowe anegdoty. Którejś nocy ubowcy wpadli do chałupy i zabrali Jaška razem z jego góralskim strojem i ciupażką. Rodzice nie mogli pojąć co się stało, wychodzili ze skóry żeby go ratować, nie wiedzieli jak; jeździli do miasta pod więzienie, płakali w Komitecie Powiatowym, płakali na milicji, próbowali przekupstwa. Byli to ludzie starej daty, których życie niczego nie nauczyło; wciąż wierzyli biednymi zmysłami, że między winą a karą musi istnieć logiczny związek. I oto po kilku dniach przed chałupę zajechał czarny samochód, wysiadł Jasiek w góralskim stroju, uśmiechnięty, w jednej ręce ciupażka, w drugiej wielka torba cukierków. Był w samej Warszawie, spełniał funkcję państwową – wręczał kwiatki gościom zagranicznym. Sam prezydent Bierut osobiście pociągnął go za ucho i zapytał:

– No, smyku, jak ci idzie nauka?

– Dobrze! – zażartował rezolutny góralczyk.

– No to dobrze!

Ta historyjka, opowiedziana przez kogoś mimochodem, przyniosła mi trochę ukojenia; strasnie wtedy cierpiałem, że nigdy nie będę mieć góralskich portek i nie zatańczę zbójnickiego na scenie jak moi koledzy z klasy, bo jestem niegodny, nierasowy, źle urodzony. Co prawda, wystąpiłem na akademii w bukowiańskim Domu Ludowym, ale nie jako góral, lecz recytator.

Warszawski wiatr –

po Starówce i Mariensztacie,

warszawski wiatr –

wy się w nim jak ja zakochacie,

warszawski wiatr –

jemu równego nie ma,

na Freta i Bema

i jak szeroka ziemia

pędzi warszawski wiatr.

W tym miejscu dla większego efektu uczyniłem pauzę, nieco wysunąłem nogę i obniżyłem środek ciężkości, jak to czynią szermierze, narciarze albo figury na pomnikach, podniosłem rękę – i w tym momencie od strony widowni usłyszałem inny wierszyk:

Jest tu taki między nami

Co sie posroł łotrymbami.

Dla panów strój góralski to portki, cucha, kłobuk z piórkiem, ciupaga, kierpce, gorset, korale. Dla mnie pierwszy strój góralski, widziany z bliska, najpierw egzotyczny i fascynujący, ale potem zwyczajny, to wigon. Ja sam nie miałem wigona, ale widywałem rodowitych Podhalan w autentycznych ludowych wigonach. Wigon to dziecięca koszulka do połowy łydki, podwinięta z tyłu albo związana na supeł, żeby jej nie zabrudzić podczas wiadomej czynności. Dobrze zapamiętałem wigony, bo było ich pełno i nam, starszym, okropnie przeszkadzały w zabawach na pastwisku. Biegały na bosaka, a gdy krowa zrobiła kupę, przepychały się, wrzeszcząc, by choć przez chwilę pogrzać sobie stopy w cudownie ciepłym krowim nawozie. Najsilniejszy wygrywał, uśmiechał się rozkosznie, inne wigony w tym czasie wyły z zawiści.

Dla panów kierpce to oczywisty atrybut górala. Na weselu czy na scenie góral bez kierpców nieważny. Ale dla bukowian, którzy byli staruszkami wtedy, kiedy ja miałem dwanaście lat, kupne buty były symbolem bogactwa, kierpce – biedy. Robiono je z nie wyprawionej świńskiej skóry, w czasie deszczu rozciągały się, spadały z nóg, w słońcu twardniały i były jak z blachy. Za to nadawały się do jedzenia, więc trzeba je było wieszać gdzieś wysoko, żeby ich nie porwał pies albo kot. Czasem silniejszy pastuch, gdy już nie mógł wytrzymać z głodu, zrywał słabszemu kierpiec, opiekął przy ognisku i zjadał, a właściciel płakał. Pierwsze buty w Bukowinie robiono na początku lat dwudziestych, na wzór pańskich – ale, jak to

zwykle w sztuce ludowej, bezwiedny chłopski geniusz odruchowo wprowadził twórcze modyfikacje: nie było butów lewych ani prawych, małych ani dużych, ale wszystkie takie same, programowo wielkie, żeby pasowały na każdą nogę i by można je było poupychać szmatami lub słomą. Ach, jakie były wspaniałe w porównaniu do kierpców! (Widziałem jeszcze takie buty w pięćdziesiątym drugim roku). Pani Michalina Cwizewiczowa, nauczycielka, która sprowadziła się do Bukowiny w latach dwudziestych, opowiadała, ile ją kosztowało wysiłku, gdy zakładała pierwszy w Bukowinie zespół taneczny, aby namówić góralską młodzież, żeby się pokazała w kierpcach na scenie. Na stroje góralskie się godzili, na tańce też, ale koniecznie chcieli tańczyć w butach, bo kierpce ich hańbiły. W końcu lat dwudziestych i na początku trzydziestych, gdy młodzież bukowiańska, naśladując Zakopane, wprowadzała modę na paradne stroje, dzisiaj uważane za typowo podhalańskie i pradowne, starzy patrzyli na to ze zgorzaniem. W Cichem pierwszych właścicieli bogato cyfrowanych portek przezywano kurwierzami i niechętnie wpuszczano do kościoła. Gdyby bukowianin, zmarły sto lat temu, wstał dzisiaj z grobu i zobaczył współczesny góralski strój, nie domyśliłby się, że to strój bukowiański.

Oszej godzinie, rozmawiając z kimś na werandzie, Babunia wspominała (nie wiedząc, że podsłuchuję), że za jej młodych lat góralki chodziły bez majtek, zimą też. Babunia, świetna pielęgniarka, była miejscowym pogotowiem ratunkowym; kurując którąś sąsiadkę podarowała jej ciepłe majtki. Wieść o tym genialnym wynalazku rozniosła się natychmiast – opowiadała Babunia – całe procesje góralki mnie nachodziły, przekupywały drobiem i nabiałem, pisałam do siostry w Krakowie, siostra przysyłała paczkę za paczką i dziwiła się, na co mi u diabła tyle majtek? Dowiedział się o tym pewien znany miłośnik góralszczyzny, spędzający na Bukowinie wakacje, nie chcę wymieniać nazwiska; specjalnie przyszedł, żeby mnie zbcsztać. Toż to – powiada – degrengolada! Na co im majtki? Chodzący bez i dobrze było! Kultura ludowa jest homogeniczna, rzadzi się własnymi prawami, wprowadzając do niej nowy element zburzyła pani prastary ład! – Co to znaczy homogeniczna? – zapytałem odruchowo, zapomniawszy, że nieładnie podsłuchiwać i powinienem być w łózku. Babunia mnie ofuknęła, kazała wyjść – no i nie wiem, jak się dalej rozwinęła dyskusja.

Lubiłem brać udział w wiejskich pracach, biegałem do sąsiadów zwozić siano, paść krowy albo ozkidować gnój, ale tym się różniłem od rówieśników, że dla mnie była to atrakcja, nie obowiązek. Pracowałem najwydajniej jak mogłem, z poczuciem dyscypliny, ale dla samego uczestnictwa, by dodać sobie ważności i mieć poczucie sensu istnienia. Więc niby żyłem w Bukowinie jak inne wiejskie dzieci, ale nie wiem, co znaczy być zaharowanym wiejskim dzieckiem. Dopiero dzisiaj przychodzi mi do głowy, że moja zabawa miała jakąś wartość w sensie ekonomicznym, komuś przynosiła zysk – i by ją doprowadzić do końca, trzeba było zażądać choćby lizaka.

Latem bukowiańskie dzieci zbierały borówki i sprzedawały panom. Wziąłem bornię i pobiegłem za innymi, ale nazybałem niewiele, bo więcej borówek poszło do gęby. – Teloś ino nazbierol? Babka cie dobije po tyj cornyj kufie. – E, coży go miała dobić, dy to pon. Więc innym razem pilnie zbierałem, nazbierałem więcej niż Józek, który był ode mnie większy i silniejszy. Jasne, co było dalej. Wiedział, że nie poskarzę dorosłym. Ale później starał mi się to wynagrodzić: uczył mnie, jak sypać borówki, żeby się wydawało, że jest ich więcej. Uczył mnie także techniki niewydawania reszty, rzecz jasna, podbudowanej ideowo: panowie majom szkoły, to cynu som takie głupie i nie pilnujom swoik dutków. A przecie i tak ludzie na nik robiom, coby z głodu nie zdechli.

Latem sprzedawałem borówki, zimą od czasu do czasu smarowałem panom narty, zarobione groszaki były moje i niko mi nie musiałem się z nich rozliczać. Tym się różniłem od kolegów; prawie wszyscy zarabiali, na ogół znacznie więcej ode mnie, ale rodzice natychmiast odbierali im picniadze. Więc ja byłem, wstyd powiedzieć, bogaty pon.

W szóstej klasie siedziałem w jednej ławce z Bronkiem. Próbowałem się z nim zaprzyjaźnić. Przez dłuższy czas mnie zbywał, ale za którymś razem powiedział, tonem prośalnym i rozkazującym równocześnie, żebym mu dał śniadanie, bo jest głodny.

Jasne, że był głodny, ja też po całym dniu na śniegu bywałem głodny. Babunia mówiła, że to objaw zdrowia, żebym tak nie wrzeszczał i dokładniej otrzepał się ze śniegu. Rozpakowałem śniadanie, przedarłem na pół i dałem koledze. Trochę się zdziwiłem, że porównał oczami oba kawałki. Mnie się wydawało, że są równe, ale widziałem, że on widzi, że mój kawałek jest większy.

Na drugi dzień Broniek zażądał śniadania bardziej zdecydowanie. Nie miałem, bo akurat nie chciało mi się przygotować. No to idź do piekarni i kup mi bułkę, powiedział opryskliwie, językiem pańskim, nie po góralsku, co było dodatkową karą. Miałem pięćdziesiąt groszy, kupiłem mu wodną bułkę, a przy okazji odkryłem, że Broniek jest głodny nie tak jak ja, radośnie, tylko głodny na smutno, bo ma w domu za mało jedzenia. Czytałem w książkach o czymś takim, biedna chatka i głodne dzieci, a tu proszę, widzę to na własne oczy. Poczuję radość, jak wtedy, gdy po raz pierwszy w życiu zobaczyłem z bliska stadko saren.

Wiedziałem, że Broniek na mnie liczy, więc starałem się przynosić do domu śniadania w miarę systematycznie. Ale czasem całymi tygodniami chorowałem. Potem bałem się iść do szkoły i narażać się na jego afronty. Miał do mnie pretensje, że sobie po pańsku choruję, gdy on nie ma co jeść.

Dosyć mnie ten układ uwierał, ale również przynosił zysk, bo choćby na gimnastyce Broniek zagrywał tylko do mnie i dzięki temu nie sterczałem jak kołek przez całą lekcję.

Któregoś dnia pan kierownik zebrał starsze klasy i długo mówił, że na Ziemiach Odzyskanych są wolne gazdówki, murowane, zelektryfikowane, woda w chałupie i w oborze, a kto je obejmie, ten dostanie ziarno siewne, maszyny, pożyczkę bezzwrotną. Więc po co dziadować w Bukowinie, skoro wystarczy się przenieść na prastare piastowskie ziemie, żeby się dorobić. Gdy nas puścił, na korytarzu wisiał plakat *Przygody Antoniego Rybki*.

Jedźże z nami, Rybko drogi,

Na ugory! Na odłogi!

A więc Rybka sakum-pakum,

Ekwipunek już w plecaku.

Plakat był podzielony na obrazki, pod każdym czterowiersz. Jak każda dobra agitka, tak i ona miała wątek erotyczny: na drugim albo trzecim obrazku Rybka kosił, na następnym pisał list do Zośki żeby przyjeżdżała bo jest wspaniale, więc na ostatnim obrazku uśmiechnięta Zośka wyglądała z okna wagonu, zaś Antoni Rybka czekał na peronie z bukietem.

Po kilku tygodniach pan kierownik powiedział, że rodzina Bronka przenosi się na Ziemię Odzyskaną i bardzo mądrze oraz patriotycznie postępuje. Już wkrótce Broniek będzie bogaty, będzie miał piękne ubranie, a z czasem może nawet i motocykl.

Broniek stał na baczność i słuchał. Był trzynastoletnim chłopakiem jak ja, ale miał twarz dorosłego człowieka.

Uśmiechałem się do niego i myślałem, jakimi słowami się z nim pożegnać i życzyć mu szczęścia. Ale mnie uprzedził.

– Hyboj se mnom, mom ci cosi pedzieć.

Poszliśmy dróżką w dół, za cmentarzem skręciliśmy w prawo. Broniek przystanął, rozejrzał się. Sprawdził, czy nikt za nami nie idzie, a od drogi zasłania nas cmentarz. Zaciśnął rękę w pięść, odwinął się powoli i walnął mnie w twarz.

Zakreśliło mi się w rozumie, upadłem w krowi talerz, bryznęło, specjalnie mnie tak ustawił. Leżałem oglupiały, nie próbowałem się bronić. Nieraz biłem się z chłopakami, ale tym razem przeżywałem coś nieznanego; Broniek nie wyżywał się na mnie, nie był agresywny, lecz bił spokojnie, metodycznie, jak się odgarnia śnieg albo podaje snopki. Gdyby mój przyjaciel miał pod ręką siekiere albo kulik, to znaczy gruby kij, pewnie byłby mnie zabił. Ale pracował gołymi rękami i nogami też na bosaka.

Gdy uznał, że robota skończona, rozprostował plecy, wziął to, co mu służyło za teczkę i nie oglądając się, poszedł wolnym, gązdawskim krokiem w stronę Rusińskiego Wierchu. Wstałem dużym wysiłkiem, bolał mnie każdy ruch, byłem wypaprapny krwią i krowim nawozem.

Powlokłem się za Bronkiem ścieżką do potoka, żeby się umyć. Ukląkłem, nabrałem wody w dłonie.

Bronek był już na grapie. Spojrzał w dół, zobaczył że kłęczę nad wodą, i krzyknął:

– Cobyś nie zabacył!

I to samo, ale po pańsku:

– Żebyś se pamiętał!

Pamiętam, Bronuś.

Chłopcy bukowianie dzieliли się na dwa obozy: kto wychodząc ze szkoły kręcał na prawo, w górę wsi, był górzaniem, a kto na lewo, dolanem. Od czasu do czasu górzanie i dolanie, zamiast spokojnie iść ku chałupom, chwytali za kamienie albo za bryły lodu. Pan kierownik Ostrowski wylatywał na ganek, rozkazywał natychmiast przestać, wygrażał pięściami, zniewalał obie walczące strony. Gdyby mu wyłączyć fonię, wyglądałby jak charyzmatyczny wódz, zagrzewający armię do boju. Potem pewnie sobie wyobrażał, że to on swym pedagogicznym autorytetem zażegnał konflikt i nie dopuścił do rozlewu krwi. Był w błędzie, bo chłopcy i tak po niejkiej chwili cichli, jakby kto zgasił silnik, i rozchodzili się w najlepszej zgodzie.

Nie potrafię odpowiedzieć na pytanie, dlaczego jednego dnia nic się nie działo, a drugiego dnia chwytało za kamienie. Nie wiem, co bywało bezpośrednią przyczyną bitki, jak wybuchała, nie jestem w stanie jej zrelacjonować, wskazać prowodyrów, opowiedzieć o mechanizmach, które nią rządziły. Zrywała się nagle, wzmagala, wkrótce cicha. To wszystko.

Jeśli nie liczyć tych bójek, górzanie i dolanie żyli zgodnie. Nie przypominam sobie w naszej klasie wrogich obozów ani grupowych antagonizmów. Kogoś się lubiło, kogoś nie lubiło – ale nie dlatego, że mieszkał wyżej bądź niżej. Kto dostał kamieniem, ten rozcierał siniaka, jeśli bolało to płakał i obiecywał zemstę, ale na drugi dzień zachowywał się zwyczajnie. Gdyby znalazł się chłopak, który w dniach bójek byłby akurat w szkole nieobecny, to taki chłopak mógłby chodzić do bukowiańskiej szkoły przez całe siedem lat i ani razu nie usłyszeć o górzaniach i dolanach.

Mój pierwszy raz wyglądał tak: Stasek, Marek i ja, trzej klasowi intelektualiści, wychodzimy ze szkoły, idziemy wolniutko, rozmawiamy, czy na Marsie są ludzie. Wiosna, spod śniegu wypływają potoki brązowej wody i płyną środkiem drogi, zimowa kacabaja robi się ciężka, bielučki Hawrań lśni w słońcu, Marek mówi, że ludzie na Marsie mogom być, ftoz wi, ale nie ludzie, ba coś podobnego do ludzi, diasi wiedzom co. Stasek żegna się, odchodzi, Marek zastanawia się, jak ci ludzie z Marsa wyglądają; nagle krzyk, nie wiem kto krzyczy i dlaczego, ale Marek wie doskonale, chwyta bryłę zlodowaciałego śniegu, burego od końskiego nawozu i ciska w Staska, który stoi o kilka kroków od nas i gapi się na ptaki, krążące nad cementarzem. Stasek się uchyla, pocisk przelatuje mu koło ucha, blysk spojrzenia, widzę, że Stasek natychmiast pojął o co chodzi, podczas gdy ja nic nie rozumiem. Stasek rozgląda się po ziemi, chwyta coś, podnosi rękę, ktoś wrzeszczy z bólu; biegnę w stronę Domu Ludowego na ile mi starcza oddechu, przysiadam na ławeczce przed którąś chałupą, odpoczywam. Marek nadchodzi i stawia zagadnienie, jak pogodzić istnienie ludzi na Marsie z biblijną wersją stworzenia świata. Pytam, co to było, Marek nie rozumie o co pytam, wreszcie uśmiecha się i mówi, że przecie pirso godzina, południe minęło. – No to co? – Nie wtyś? Przecie siyćka wiedzom, że dolanie majom rozum ino do południa.

No, to na drugi raz byłem mądrzejszy. Na drodze już nie było śniegu, tylko żwir i kamienie. Cisnąłem równocześnie kamień i obelgę. Przycupnąłem za stertą ostrewek, sytuacja była korzystna, wychynałem ze swego bunkra, posuwam się krok po kroczku, szczęśliwy, dzielny, walczę jak w ekstazie. Któryś z naszych siedzi na krawężniku i płacze, a ja prę do przodu,

gardząc niebezpieczeństwem. Celuję trochę na oślep, nie żeby w kogoś trafić, po co mi to, ciskam kamienie dla samej radości życia i nawet nie patrzę, czy ktoś rzuca w moją stronę, trochę dlatego, że jestem dzisiaj wyjątkowo dzielny, a trochę dlatego, że kamienie jakoś same mnie omijają.

I wtedy Józek Mendlak, jeden z lepiej zbudowanych dolanów, zawołał do mnie życzliwie:

– Idźże chłopce ku chałupie, bo i ty dostaniesz.

W ten przystępny sposób mi uświadomił, jak wyglądała moja sytuacja, oglądana z zewnątrz. Oto mogłem sobie pozwolić na dzielność, ponieważ dolanie nie uważali mnie za górzana i rzucali kamieniami gdzie indziej. Moje bohaterstwo, dopóki nie zagrażało innym walczącym, było tolerowane, ale skoro tylko wysunąłem się do przodu i stałem się niebezpieczny, poproszono mnie, żebym się wycofał. Jeśli nie, to zostanie potraktowany sprawiedliwie, czyli ukamienowany.

Spojrzałem w tył. Prawdziwi górzanie kryli się gdzie kto mógł; walczyli dzielnie, ale na bezpieczną odległość, by nie okaleczyć kolegów i nie dostać za mocno. Tylko ja jeden nie umiałem zachować miary, bo musiałem być dzielny bardziej niż inni, było mi to potrzebne, miejskiemu chłopakowi, który zdążył już pokochać Bukowinę, ale nie został górzaniem i nigdy nie będzie. Przywołano mnie do porządku, muszę przyznać, że bardzo uprzejmie; gdyby z mojego zachowania wyciągnięto dopuszczalne konsekwencje, chodziłbym dzisiaj bez oka albo z dółkiem w czaszce.

I tak każdy dzień przynosił dowody, że pon, to człowiek gorszego gatunku, a jedynie góral jest coś wart. Sami panowie to przyznawali, bo przecież na każdym kroku nadszkakiwali góralom; zaś górale traktowali panów pobłażliwie, z wyższością. Panom najwyraźniej to odpowiadało. Lubili, żeby ich lekceważył. Na przykład słowo ceper, wybitnie obraźliwe. Nazwać pana ceprem, to jakby nazwać chłopca chamelem albo Żyda gudłajem. Cepry to słowo znacznie mocniejsze niż stonka. Stasek, syn sąsiadów, tylko jeden jedyny raz nazwał mnie ceprem; bić się z nim nie mogłem, bo był silniejszy, więc odwróciłem się i poszedłem ku chałupie. Przez tydzień patrzałem na niego, jakby był przeźroczysty, a gdyby mnie nie był przeprosił, nie odezwałbym się do niego do końca życia. Otóż panowie najwyraźniej lubili słowo ceper, gdyż posługiwali się nim na co dzień; w ich języku oznaczało ono człowieka nieporadnego w górach, odpowiednik mieszczaucha albo szczura ładowego. Jeśli któryś letnik pobłądził w lesie, otarł sobie piętę, jeździł na nartach jak szafa trzydrzwiowa albo nie wiedział, że nie mówi się „spodnie góralskie”, tylko „portki góralskie”, towarzystwo nazywało go ceprem, a on się godził.

Nam, bukowiańskim dzieciom, zjawisko to dawało niemało radości; to tak, jak gdyby wytworna cudzoziemka witała się słowami: jestem kawał cielęciny, sądząc, że mówi dzień dobry.

Dorosłych górali także śmieszyło słowo ceper w tym inteligentkim znaczeniu. Jędrzej Skupień Florek powiedział: „jo panów cepami nie przezywom, ale kie sie sami tak przezywajom, to jo sie im nie prociwem. Niek se ta majom, kie fcom.”

Wedle niezłomnego przekonania moich rówieśników panowie dawno by wyzdychali, gdyby nie górale, którzy na nik robiom. Panowie są ludźmi, ale nie całkowicie. Przede wszystkim dlatego, że nie pracują. Robota wiejska to praca; praca umysłowa nie jest pracą, bo jej sens nie jest oczywisty; robi się ją na siedząco, a siedzenie to przecie odpoczynek. Z czego jasno wynika, że panowie to darmożady — nic nie robiom, a bierom wielgie dutki nie wiadomo za co, więc powinni te dutki zostawiać ludziom (w mowie bukowiańskiej wyraźnie rozróżniało się „panów” i „ludzi”), tak jak las powinien dawać borówki i grzyby.

W szóstej klasie chodziła z nami do szkoły przez miesiąc albo dwa panna Jędrzejowska, lekarzówna z Chrzanowa. Gdy ojciec ją zabierał, wręczył nauczycielce bukiet kwiatów, nam też pięknie podziękował i zostawił dwukilogramową torbę cukierków. Podczas przerwy, gryząc cukierki, jednogłośnie uznaliśmy pana J. za głupca: po co dawał pani kwiaty, przecie pani nie krowa, to ich nie zeżre, gdyby jej dał dutków albo na spódnicę,

to coś by z tego miała. Kupowanie cukierków całej klasie to też wielka głupota, wyrzucanie pieniędzy. Pan J. zapewne był przekonany, że zostawił po sobie dobre wrażenie. Mylił się.

W domu Babuni była wielka weranda, która mi się czasami śni. Tam się jadało kolacje, a potem dorośli rozmawiali. Szczególnie latem było ludno: rodzina Babuni, jacyś znajomi, wynajmujący pokoje u Orłowskich, Rusinów, Kuruców albo dalej we wsi. Każdy chodził po Tatrach, każdy bardzo chciał zobaczyć niedźwiedzia czy choćby świeżą kupę niedźwiedzia, komuś się to marzenie spełniło, opowiadał, dumny szalenie, a ja się straszliwie bałam. Jakiś pan, mieszkający w domu wczasowym FWP „Watra” opowiadał, że na jego turnus dostała skierowanie wiejska babina gdzieś z Mazowsza, która nie mogła sobie miejsca znaleźć: pierwszy raz w życiu była wolna od jakichkolwiek obowiązków i trudno jej się było z tym pogodzić. Nie mogła znieść, że podają jej obiad do stołu, chciała zmywać po sobie, zamiatać, wdzierać się do kuchni, denerwowało ją, że nic, ale to zupełnie nic nie robi. Więc ją namówili, żeby sobie przeczytała. „Watra” to był przedwojenny pensjonat z częściowo przedwojenną biblioteką; babina wzięła jakiś romans z wyższych sfer, zajęła leżak obok pana, który nam o tym opowiadał, wsadziła na nos okulary i zaczęła sylabizować półgłosem, jakby odmawiała koronkę: *...jej nagie piersi, skapane w księżycowej poświacie, rzekłbyś utopzone z włoskiego marmuru, lecz gorące niczym rozpalona lawa, wznosiły się i opadały, chwytając powietrze jak ryba wyrzucona na brzeg...* No to — opowiadał ten pan — zdrzemnąłem się, a gdy się ocknąłem, słyszę: *...w tym momencie uczuła, że namiętne spojrzenia hrabiego palą jej duszę na popiół, a wszelki opór jest daremny.* No to znowu się zdrzemnąłem. Budzę się, bo słońce zaszło za chmurę, trochę się ochłodziło, i słyszę: *ciałem Artura wstrząsnął dreszcz pożądania. Rozchylił swe zmysłowe, mięsiste wargi, które nabiegły czarną posoką, i rozdał chrapy niczym koń pełnej krwi arabskiej na bezbrzeżnym stepie...* Babina czytała to monotonnym głosem, a gdy doszła do momentu, w którym *blaskiem rozświetliła na ułamek sekundy dwa nagie ciała, splecione w namiętym uścisku na leśnej polanie pośród mchów i paproci, smagane ulewą, drżące z zimna i niewystawionej rozkoszy,* odłożyła książkę i straszliwie się rozszochala. „To panowie to robią tak ładnie? Za mną chłopcy się uganiały, dwóch mężów pochowałam, życie przeżyłam, a nie wiedziałam, że to można robić tak ładnie...” Płakała do wieczora, nie chciała jeść, dostała gorączki, zabrali ją do Zakopanego do szpitala.

Bo przecież trzeba pamiętać, że tamte lata, to również turystyka dla mas. Nikt jej nie opisał, a szkoda, bo jakże tu zrozumieć czasy dzisiejsze, jeśli człowiek nie zda sobie sprawy, jakim gigantycznym wysiłkiem ówczesni chłopcy wchodzili do cywilizacji. Róża Drojcka, wspaniała gaduła, wiele jej zawdzięczam, w początkach Polski Ludowej pracowała w zakopiańskim Funduszu Wczasów Pracowniczych jako przewodniczka. Obsługiwała wiejskich ludzi, którzy nie mieli śmiałości wejść do przedziałów kolejowych, bo siedzenia były wyściełane; zdarzyło się, że ktoś przez cały turnus bał się zabrudzić pościeli i spał na podłodze, kiedyś pół wycieczki spłakało się ze wzruszenia, że władza ludowa pomyślała o nich i przygotowała im na wycieczkę suchy prowiant. Na wieczorkach zapoznawczych kaowcy z domów wczasowych życzliwie wyjaśniali, na czym polega różnica między umywalką a waseklozetem, nad Morskim Okiem aktywiści zbijali się w gromadkę, ileż tu nieużytków, jakie straszne dziedzictwo sanacji, ale Polska Ludowa już niedługo zrobi porządek z tą zacofaną kupą kamieni, przydadzą się na budowie socjalistycznych miast, a tutaj, nad Morskim Okiem, zakwitną sady. Wsiadali do kolejki na Gubałówkę nie wiedząc co ich czeka, a gdy wagonik ruszał, wrzeszczeli, próbowali wyskakiwać, mdleli ze strachu albo modlili się histerycznie; na Kasprowy decydowali się najodważniejsi.

Po drugiej stronie Gubałówki, w Cichem, pewnie żyją ludzie pamiętający rok 1957, kiedy to zobaczyli z bliska pierwszą w życiu młockarnię. Wiem od naocznego świadka, że cała wieś wyległa wtedy na drogę, każdy dzierzył wiadro, pokrywkę albo

inny kawał blachy, walił w to z całej siły i darł się przeraźliwie; baby miauczały, a mężczyźni miotali wyzwiska w rodzaju: ty stary głupce, jakże bedzies młociel tom kurwom! Gazda, który kupił młockarnię, przesuwiał się wolno przez ten rozwścieczony tłum jak Mojżesz przez Morze Czerwone, z kamienną twarzą patrzył przed siebie, jakby był sam jeden na świecie.

W środku Bukowiny, nieco powyżej Domu Ludowego, stała przy drodze szopa. Gdy chodziłem tamtędy do szkoły, obserwowałem, jak przedzielano ją przez pół; w jednej połowie mieszkała krowa, a drugą gazdowie wynajęli na salon fryzjerstwa damskiego, czynny sezonowo. Wycięli okienko, żeby w salonie było widno, ściany obili listewkami, z przodu dobudowali ganeczki, z tyłu wygódkę. Nicco poniżej stała druga szopa, na niej zielony sztyl z herbem bukowińskiej Gminnej Spółdzielni Samopomoc Chłopska i napisem „Sklep Potrzeb Kulturalnych”. W środku Maryśka. Otwierając drzwi potraçało się dzwonek, zawieszony na sprężynie ponad futryną. Maryśka podnosiła głowę. Cożeś fciol? Sprzedawała poradniki rolnicze, przybory szkolne, utwory naszych wielkich pisarzy jak Putrament, Kraszcwski, Kruczkowski, Czeszko, Mickiewicz i inni, a nikiędy papier toaletowy. Kiedyś zamiast reszty wetknęła mi broszurkę J. Słowackiego *Ojciec zadźmionych*, wzięłem, bo nie miałem śmiałości wadzić się z Maryską. To jest bardzo ładny i smutny kawałek, o Arabie, któremu cała rodzina wymarła, jedno po drugim, ogółem ośmioro. Szybko się czyta, więc gdy skończyłem, przeczytałem jeszcze raz, a wieczorem umiałem na pamięć. Próbowałem recytować kolegom, ale nie chcieli słuchać i zamiast mi dziękować, przezywali mnie „oicc cholerycny”.

Lubiłem czytać, ale nie byle co. W Domu Ludowym była biblioteka gromadzka; poprosiłem panią, żeby mi wybrała coś dobrego o problemach młodzieży, dała mi powieść postępowego pisarza rosyjskiego F. Dostojewskiego pod tytułem *Młodzik*. Siedziałem sobie na miedzy i czytałem, pasąc krowę Orłowskich, dumny i świadom ciężącej na mnie odpowiedzialności. Jakiś letnik przechodził. Zagadnął mnie uprzejmie, jak mi się pasie, czy mnie krowa słucha i co czytam. Więc mu wyjaśniłem, że plono mi się czyta, bo panowie przeszkadzają, a czytam Dostojewskiego, straszne nudy. — Nudzi cię Dostojewski? — rozpromienił się — to świetnie! — Jak to, świetnie? — Bo to znaczy, że jesteś normalny. — No pewnie że jestem normalny, to przecież oczywiste! — Och, to wcale nie jest takie oczywiste. Tak sobie powiedział i poszedł, a skutek taki, że do dziś dnia nie przeczytałem w całości ani jednej powieści Dostojewskiego i już tego nie uczynię, po co miałbym się przymuszają. Stasek twierdził, że są dwa rodzaje książek: Dawno i nieprawda oraz Zabili go i ucik. Obie kategorie są nic nie warte. Tak jest, bo tak powiedział jego tato.

Od czasu do czasu do Sklepu Potrzeb Kulturalnych rzucali papier toaletowy. Maryśka kłęła, bo w sklepie robiło się ciasno, rolki z dziwnym napisem SOLALI tworzyły na ladzie piramidę pod samą powałę, wystarczyły dwa worki, żeby całe wnętrze Sklepu Potrzeb Kulturalnych było zatarasowane i klienci nie mieli gdzie stać, więc trzeba było te worki wynosić do sąsiada, sąsiad się krzywił. Wiele z tym było zawracania głowy, a utarg niewielki. Jeszcze pół biedy latem, bo wtedy papier wykupywali panowie, bardzo ich to radowało i dziwiło, że ot tak po prostu ten towar jest w sklepie i można go kupić bez ograniczeń; cieszyli się na swój sposób, to znaczy byli dumni, że w Bukowinie taki prymityw, że papier toaletowy nie jest natychmiast rozchwytywany, i dopiero oni, przedstawiciele wyższej cywilizacji, zrobili z tym porządek. Więc kupowali po kilkadziesiąt rolek, pakowali w paczki i nicśli na pocztę, naczelnik wzdychał i kłął po węgiersku. Gorzej wiosną i jesienią, bo leżało to święństwo tygodniami, zawałało cały sklep. Czytałem niedawno w gazecie, że Niemcy z byłej NRD wykupują po naszej stronie Odry zapasy papieru toaletowego, bo do takiego są przyzwyczajeni od lat: jest twardy, solidny, przypomina im dawne czasy, nie jak to miękkie dziadostwo, które tam teraz produkują.

Między Sklepem Potrzeb Kulturalnych a Salonem Fryzjerstwa Damskiego, ale po drugiej stronie drogi, stoi karczma



Il. 1. Taniec zbójnicki, repr. z: Stanisław Witkiewicz *Na Przełęczy*, 1889

„Janosik”. Józek Łojas, pierwszy sławny człowiek, którego dane mi było znać osobiście, a nawet się z nim trochę przyjaźnić, wstąpił się w tym właśnie miejscu. Był to górnik jak z obrazka, z pierwszym zarostem na twarzy i wesołą dziecięcą buzią. Grałem z nim parę razy w piłkę. Józek, niewiele starszy ode mnie, dobry chłopak, przystojny, tylko głupi i wielki pechowiec, pił w „Janosiku” z panami, śpiewał im po góralsku i słuchał komplementów, jaki to jest gibki i śwarny, prawdziwy zbójnik, więc gdy sobie popił, a czemu miał nie popić skoro panowie stawiali, rzeczywistość wymieszała mu się ze zbójnickimi przyśpiewkami i chcąc pokazać, jaki jest śwarny (każdy miłośnik Podhala zna to słowo), wyleciał na drogę i ot tak dla śpasu uderzył przechodzącego wczasowicza. No i zabił niechcący, taki pech. Dostał dożywocie, a jego nazwisko przez wiele lat było w Polsce synonimem bandziora. Nazwiska panów, którzy upili prymitywnego smarkacza i mieli rozrywkę, podjudzając go do janosikowych czynów (najpierw było jakieś rzucanie stołkami w karczmie i perlisty damski śmiech), pozostały w cieniu. O Józku pisały wszystkie ówczesne gazety, a gdy bukowiańska gmina próbowała go bronić, zerwał się jazgot oburzenia; pamiętam rysunek w „Szpilkach”, przedstawiający karykaturalnych, wstrętnych górali, osłaniających mordercę, i podpis: Górala, czy ci nie żal? Skoro panowie tak grzecznie pytacie, odpowiadam: żal. Żal mi obu — i tego studenta z Krakowa nazwiskiem Marek Orman, który przyjechał do Bukowiny na parę dni, zatrzymał się u starego Pary i wyszedł na drogę tak okropnie punktualnie, że akurat zdążył na swoją śmierć, i żal mi Józka, bo też padł ofiarą tragicznego splotu przypadków, w którym wszystkie elementy bezbłędnie zagrały. A żeby było jeszcze obrzydliwiej, prawie równocześnie z procesem Józka odbywał się w Warszawie głośny proces poszlakowy profesora medycyny, oskarżonego o otrucie żony — podobno truł ją powolutku, miesiącami, z wykorzystaniem wiedzy fachowej, podbierając służbowe proszki z Akademii Medycznej. Józkowi wsuli dożywocie, a tamtemu piętnaście lat. Zawirowało mi w rozumie, gdy o tym przeczytałem. Jeśli był winien — próbowałem przywołać na pomoc zdrowy rozsądek (w chwilach zwątpienia przywołuję zdrowy rozsądek i to na ogół pogarsza mój stan) — jeśli był winien, należał mu się wyrok śmierci; a jeśli nie udowodnili mu winy, powinni go zwolnić, myślałem. Gazety pisały, że po Bukowinie chodzi plotka, że panowie się obrażą o to morderstwo i przestaną przyjeżdżać na wczasy, ale nie ma się czego bać, przecież

panowie bardzo kochają góry. — Pewnie, że nie ma się czego bać — myślałem — panowie nie tacy znowu wrażliwi, żeby się pozbawiać przyjemności z powodu jednego trupa. Zapomną.

Śmieszają mnie słowa „śwarny”, „harnaś”, „mocarny”. W prozie Tetmajera występuje góral o przydomku Mocarny; czytelnik myśli, że chodzi tu o mocarza, herosa. Tymczasem przydomek „mocarny” powstał jako złośliwość, coś w rodzaju „gołodupiec”, a oznacza gazdę, mieszkającego na terenie podmokłym, czyli łąk. „Harnaś” występuje dzisiaj głównie w nazwach restauracji, sklepów itp. W Nowym Targu istnieje Spółdzielnia Inwalidów „Harnaś”; gdy po raz pierwszy zobaczyłem ich szyld, wesoło mi się zrobiło — ale szybko mi przeszło, gdy mi się uświadomił, że ze mnie też taki inwalida harnaś.

Nie przepadam za tańcem zbójnickim, również ze względów osobistych. Pierwszy raz widziałem go na scenie w bukowiańskim Domu Ludowym, w wykonaniu moich rówieśników, chłopców z szóstej i siódmej klasy. Podziwiałem ich, żarła mnie zazdrość i wstyd, że gdzieś mi tam z moim warszawskim wiatrem do ich wspaniałego występu. Taniec zbójnicki to nie jest zajęcie dla warszawiaka, ani tym bardziej dla astmatyka. I co z tego, że ja też bardzo pragnąłem pięknie wyglądać, dziarsko wywijać ciupagą i śpiewać:

— Nie chodź na zbój Wojtek, Maciek,
lepiej robić w kombinacie!

Chłopcy byli świetnie zgrani, wyćwiczeni, szczęśliwi. Patrzałem i bulgotała we mnie parszywa, upokarzająca zawiść, wymieszana z zachwytem. Aż wreszcie nastąpiła scena finałowa: stanęli twarzą do widowni, lewa ręka na biodrze, prawa, wysoko uniesiona, dzierży ciupagę, a z młodzieńczych, zbójnickich piersi wyrwywa się okrzyk:

— Praca! Pokój!

Wracałem do domu naburmuszony. Babunia mnie pochwaliła, że ładnie wypadłem. Odpowiedziałem niezbyt uprzejmie. Ofuknęła mnie, że jestem nieznośny malkontent. Milczeliśmy. Chciało mi się płakać.

Nieco później przeczytałem po raz pierwszy *Na przełęczy* Witkiewicza. Uderzyło mnie, że taniec zbójnicki w tej książce wygląda zupełnie inaczej od tego, który widziałem na własne oczy.

Oto na skrawku łączki, pod lasem lub gdzie bądź przed szatą lub schroniskiem, pozrzucał na kupę torby i cuchy, pozrzucał i kapelusze albo je przymocowali pod brodą zawad-



Il. 2. Taniec zbójnicki, lata 1950–1960. Fot. Krystyna Gorazdowska

lami, następnie wbijają wszystkie ciupagi w ziemię i zaczynają dokola nich taniec. Każdy po kolei staje przed grajkim, śpiewa parę zwrotek, płaci za muzykę i puszcza się drobnego. W końcu wszyscy już są w kole i wtedy rozpoczyna się jakieś szaleństwo, taniec opętany, wariacki, w którym na tle pewnego ogólnego tempa ruchów każdy, odpowiednio do swego temperamentu i zdolności tancerskich, improwizuje rozmaite ruchy i skoki. Ten łagodny blondyn, zgrabny i smukły, stula nogi, bierze się pod boki i wyprostowany rzuca sobą w powietrze, padając ukośnie na ziemię jak gwóźdź olbrzymi. Ten drab potężny o czerwonej, spoconej twarzy wyrzuca się w górę na szań, zgina nogi, uderza z trzaskiem w locie dłońmi po piętach i spada z hukiem. Ów z nadzwyczajną elegancją i szykiem drepce w miejscu, pochylony, jak gdyby się zachwycał własnymi nogami. Tamten bije z zaciekłością nogą w ziemię, jak gdyby chciał w niej dziurę wybić lub roztrzaskać własną piętę. Ów przypada całym ciałem do ziemi i wylatuje nagle w powietrze jak raca. Tamten przeciera obłąkane oczy, włosy mu się jeżą, wytrząsa rękoma nad głową, zdaje się być opętany, pijanym jakimś szalem, a jego nogi same, bez jego woli i wiedzy, trzęsą się na miejscu w jakichś zygzagowatych, błyskawicznych ruchach. Wszyscy wykrzykują, szamocą się, tupią, śmigają rękami i nogami i zdają się być zębami jednego koła, lecącego w najszybszym obrocie. Znowu muzyka wolniej, ruchy stają się spokojniejsze, tańczący biorą ciupagi, szepią ją ostrzami, trzymając wysoko, i tańczą wkoło z wolna, jakby dla odpoczynku. Lecz nagle grajek naciąga brwi wielkie nad oczyma ukrytymi pod wystającym jak okap zrębem czoła, ścisła konwulsyjnie skrzypki i rżnie jeszcze wścieklejszym rytmem, a cała banda tancerzy zaczyna się z jeszcze większą gwałtownością ciskać i szaleć. Latają w powietrzu ręce, nogi, błyska stal ciupag, wszystko się miesza i mąci w jakiś chaos.

Wyżej opisana scena rozegrała się w końcu lat osiemdziesiątych XIX wieku. Ilustracja w *Na przełęczy*, również autorstwa pana Witkiewicza, zgadza się z powyższym opisem: każdy zbójnik na obrazku tańczy po swojemu, improwizuje, wspólna jest tylko atmosfera szaleństwa. Tymczasem istotą tańca zbójnickiego, który znam z Bukowiny, a potem z innych estrad, jest ściśle przestrzegana jednoczesność ruchów, realizowanie precyzyjnego planu; dobre wykonanie musi więc być poprzedzone ćwiczeniami pod okiem fachowca.

Gdy człowiek ma lat dwanaście—czternaście, stara się ułożyć całą swoją ciężko zdobywaną wiedzę na temat otaczającej go

rzeczywistości w jedną sensowną tablicę Mendelejewa. Mija nieco czasu, człowiek się przekonuje, że zadanie to jest raczej niewykonalne, więc w ogóle przestaje myśleć. Ale ja wtedy miałem trzynaście lat. Wezwałem na pomoc zdrowy rozsądek i myślałem mniej więcej w taki sposób: zbójnicki, jak go znam, wymaga sceny, widowni i długich wspólnych ćwiczeń. A przecież trudno przyjąć, żeby tatrzańskie bandy rabunkowe sprzed stuleci pobierały w wolnych chwilach lekcje tańca. Pan Witkiewicz ma rację: taniec zbójnicki w dawnych czasach był improwizacją, a nie śwarym podskakiwaniem i przykucaniem wedle ściśle określonych reguł. A więc — rozumowałem — taniec zbójnicki w którymś momencie swej historii przeobraził się. Znamy nazwiska wielkich wynalazców, jak Newton, Popow albo Miczurin, lecz nie wiemy, jak się nazywał wynalazca nowoczesnego tańca zbójnickiego. A przecież taki ktoś musiał być. Pytanie tylko, jak się nazywał oraz kiedy i w jakich okolicznościach dokonał swego odkrycia.

Mijały lata. Jako, że poza tańcem zbójnickim miałem jeszcze kilka innych ważnych problemów na głowie, wyjaśnienie tej sprawy się odwlekało. Lecz kwestia żyła, raz po raz dając o sobie znać. Kiedyś na przykład spotkałem bratnią duszę, etnografkę z Czech, która dzieliła się swym dramatem: od lat zbiera ludowe legendy z okolic Jiczina, ale wyniki jej pracy nikogo nie obchodzą, każdy tylko pyta o zbója Rumcajsa, który jest niejiczniński, nieludowy, niemerytoryczny, obcy i okropnie bezczelny. Starsze pokolenie jiczińskiego ludu niebawem odejdzie, zaś obecna młodzież zmieni się w czcigodnych starców, którzy będą twierdzić z niezłomnym przekonaniem, że Rumcajs był w miejscowej tradycji od zawsze, bo pamiętają go z telewizji, jego ubiór to pradawny tutejszy strój ludowy. No i co pan na to? — Niech pani o tym napisze artykuł — poradziłem — zostanie jako memento dla przyszłych pokoleń. — Ja, artykuł o Rumcajsie? — obraziła się.

Zbójnik, jakiego znamy z góralskiego festiwalu, nosi na głowie czerwone wiaderko z grubej tektury, może z filcu albo innego materiału, obszyte żółtą lamówką. Jest ono niezbędne, aby można było odróżnić zbójnika od zwykłego górala, a to bardzo ważna rzecz, bo gdy osobnik przystrojony po zbójnicku zawoła: dawaj pieniądze! nie ma się czego obawiać, bo to tylko zbójnik; gorsza sprawa, gdy w ten sam sposób zagadnie cię osobnik bez zbójnickich rekwizytów.

Człowiek dociekliwy z braku poważniejszych zmartwień być może zada sobie pytanie, dlaczego taka ogromna czerwona

czapa znamionuje akurat zbójnika — bo przecież trudno sobie wyobrazić, aby w czymś podobnym można było wygodnie uciekać przez las, wpadać do komory albo wspinać się po baszcie. Odpowiedź jest raczej prosta: współcześni zbójnicy z Krupówek są atrakcyjni dla turystów z tej głównie przyczyny, że wyglądają identycznie jak zbójnicy na góralskich szklanych obrazkach. Lecz pytanie pozostaje — dlaczego zbójnik na obrazku, czyli zbójnik-praktyk z przełomu osiemnastego i dziewiętnastego wieku, włożył taką dziwną czapę? To także nietrudne: węgierscy hajducy z południowej strony Tatr nosili futrzane czapy wojskowe, a zbójnicy polowali na nie jak na skalpy. Popularny ludowy obrazek, tak zwany janosikowy, przedstawia zbójników, radujących się ze zwycięstwa: skaczą przez ognisko, piją wino i strzelają na wiwat z pistoletów. Ubrani są w węgierskie zdobyczne mundury. Nieznany artysta powiększył im nakrycia głowy do ogromnych rozmiarów, bo chciał zilustrować ich życiowy sukces. To nie są czapki, lecz trofea. Historia sztuki dobrze zna takie intencjonalne powiększenia; można je zaobserwować między innymi w dawnej rzeźbie ludowej lub we współczesnej karykaturze. Dopóki więc zbójnicy tkwili na obrazku, byli zgodni z konwencją; ale gdy stary motyw został odwzorowany na tysiącach regionalnych pamiątek przez ludzi, którzy tego starego obrazka nie rozumieli, a obrazkowi zbójnicy ożyli i wyszli na Krupówki, chcąc nie chcąc musieli zabrać swe niewygodne czapy, gdyż inaczej nie zostaliby rozpoznani w tłumie.

Od moich bukowińskich czasów minęło wiele lat; szperam w starych papierzykach z jakiegoś tam powodu, i nagle zauważam ze wzruszeniem, że moje dziecięce przewidywania były słuszne! Oto mam przed sobą czarne na białym, że taniec zbójnicki w jego nowocześniejszej postaci został wynaleziony w 1910 roku przez Szczęsnego Połomskiego, naczelnika (to znaczy głównego instruktora) nowotararskiego gniazda Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół”.

Owego roku przypadła pięćsetna rocznica Grunwaldu. Jak Galicja długa i szeroka, w miasteczkach odbywały się parady, festyny, manifestacje pod sztandarami z wyobrażeniem sokoła, wzbijającego się do lotu, który wszystkim kojarzył się z Orłem. Największą uroczystość, czyli Grunwaldzki Złot „Sokoła”, przewidziano w Krakowie; Polacy z trzech zaborów i z diaspory chcieli zmanifestować jedność i wolę walki o niepodległość. Ignacy Paderewski ufundował wielki pomnik, sokoli w zielonych czamarach i amarantowych koszulach ćwiczyli paradny krok, cała Polska wstrzymała oddech ze wzruszenia. Druh Połomski zapragnął przygotować na tę okazję coś zupełnie ekstra. Nadał temu nazwę „Ćwiczenia toporkiem wraz z tańcem górali i góralek tatrzańskich”. Były to popisy gimnastyczne lekko podmalowane na ludowo, z użyciem góralskich ciupag zamiast popularnych ówczesnie maczug, szarf i wywijadeł. Wynalazek Połomskiego polegał na ubarwieniu ćwiczeń gimnastycznych elementami folkloru podhalańskiego. Był więc zaprzeczeniem żywiołowości; zaplanowano go jak pokazy fechtunku, piramidki albo tzw. żywe obrazy.

„Ćwiczenia toporkiem” zyskały wielkie uznanie, nawet druhowie sokoli ze Śląska postanowili pójść tym śladem i ułożyli taniec górniczy z kilofkami, który niestety się nie przyjął. Tymczasem zbójnicki wedle układu druha Połomskiego tak się spodobał, że górale przyjęli go za swój.

W „Przewodniku Gimnastycznym »Sokół«”, nr 10/1910 r. zachowała się notatka o tym, że po paru miesiącach od Złotu Grunwaldzkiego druha Połomskiego przeniesiono z Nowego Targu. Urządzono wieczorek pożegnalny, na którym nowotarżanie — sokoli śpiewali:

Uczył nas naczelnik bić się toporkami
A teraz odjeżdżo; co też będzie z nami?
Ani na wirsycku, ani na dolinie,
Połomskiego imię nigdy nie zaginie.

Lata mojego bukowińskiego dzieciństwa, to również początki Muzeum Lenina w Poroninie. Do legendowych postaci zakopiańskich zaliczyć wypada nie tylko Sabałę, Chałubińskiego, księdza Stolarczyka, starego Witkiewicza itd., ale rów-

nież Eugeniusza Zrosta. Znałem go osobiście. Krąży o nim klechdy, które warto zanotować.

Zjawił się pod Tatrami tuż po wojnie, w gorących czasach, gdy liczne bandy rabunkowe chodziły, jak to się powiadało, z kopytem po prośbie; jeszcze dzisiaj starsi ludzie potrafia wskazać piękne wille w regionalnym stylu, które stawiano kopytem, czyli zarabiano na ich budowę rewolwerem. Był aktywną ZWM i PPR, mianowany dyrektorem Muzeum Lenina w organizacji. Stanowisko to wymagało odwagi i tę należy tow. Zrostowi bezwzględnie przyznać. Szukając leninowskich śladów i kładąc podwaliny muzeum, ryzykował życiem. Jego kolegów z ZWM zamordowano, bo wybrali się na spacer po Gubałówce (w miejscu ich śmierci postawiono skromny obelisk; nie wiem, czy się zachował, czy też jakiś głupiec kazał go zburzyć). Tow. Zrost miał żelazne zdrowie, wolę działania, otwarte konto w banku i fotokopie dokumentów z pobytu Lenina na Podhalu, przysłane z Moskwy, które miały ułatwić poszukiwania.

Lecz tow. Zrost nie mógł z nich skorzystać, albowiem języka rosyjskiego nie posiadał. W tamtych pionierskich czasach listy Lenina, pamiętniki Krupskiej itd. nie były jeszcze przetłumaczone na polski. Z całej furi fotokopii i służbowych książek mógł więc tow. Zrost przeczytać o własnych siłach jedynie reprodukcje adresów na kopertach: Sehr geehrter Herr Vladimir Uljanov, Poronin, Galizien. Wysnuł z tego wniosek, że Lenin mieszkał w Poroninie; nie przyszło mu na myśl, że poroniańska poczta obsługiwała również sąsiednie wsie. Po jakimś czasie, gdy ktoś gramotny przeczytał, co było do przeczytania, bez trudu odnaleziono w Białym Dunajcu właściwą chałupę. Gaździna, Teresa Skupień, pamiętała swoich cudzoziemskich letników sprzed lat. Zapytana, dlaczego siedziała cicho, tłumaczyła się płacząc, że już raz miała kłopoty z policją austriacką, a przecie ona niewinna; teraz znowu jej się czepiają, że ten pan, co u niej siedział, to podobno jakiś bolszewik. Więc dali jej spokój, nikt jej nie włóczył po leninowskich uroczystościach i nie nagabywał o wywiad. Zresztą wkrótce zmarła.

Więc tow. Zrost szukał w Poroninie. A kto ma otwarte konto w banku i zapal rewolucyjny w sercu, ten znajdzie, czego szuka. Zwłaszcza, gdy sprzyjają mu dziejowe realia. W tamtych latach, zgodnie z samosprawdzającą się tezą tow. Stalina o zaostrażaniu się walki klasowej w miarę budowy socjalizmu, w każdej wsi typowano kułaka, by podjąć z nim zwycięski bój. Kułakiem poroniańskim mianowano gazdę Guta, który rzeczywiście był stosunkowo zamożny: miał starą karczmę i pensjonat. Jeszcze tego samego wieczora gazda Gut wiedział, jaką rolę wyznaczyła mu władza ludowa. Postanowił uprzedzić atak; złożył wizytę tow. Zrostowi, by poinformować, że poszukiwany Lenin mieszkał u niego w domu zajezdnym. Gazda Gut został przemianowany z kułaka na bezpartyjnego towarzysza, jego karczmę wykupiono za ciężkie pieniądze, wykupiono też sąsiednie parcele, chałupy stojące na nich rozebrano; w ten sposób za przyczyną budowy muzeum odszedł z tego świata jedyny leninowski autentyk w Poroninie — stara poczta, do której pan Uljanow jeździł codziennie rowerem po gazety i listy. Budowa muzeum ruszyła w szalonym tempie. No, i poszła lawina: wierszyki, artykuły, filmy, audycje, cała Polska wiedziała i wie po dzień dzień: Lenin w Poroninie, Lenin w Poroninie.

A skoro się okazało, że Lenin mieszkał w Białym Dunajcu, nie w Poroninie — zrobiło się dziwnie. Dom w Białym Dunajcu był owszem zwiedzany, wymieniany w przewodnikach, nie działa mu się krzywda, ale jakoby go nie było; w świadomości społecznej do dziś funkcjonuje zbitka „Lenin w Poroninie”, Biały Dunajec jest znacznie słabiej rozpropagowany.

W ogóle Lenin w Poroninie to skarbnica dla artysty czy naukowca. Przyszłe pokolenia docenią ten wspaniały temat. Naturalnie dopiero wtedy, gdy my, kompetentni, przeniesiemy się za księżą oborę, a słowa, które teraz piszę, będą miały wartość dokumentu, gdyż zostały napisane przez naocznego świadka, którym nie byłem.

W połowie lat sześćdziesiątych skończyłem studia i zamieszkałem w Zakopanem. Byłem młodym naukowcem. Młody

naukowiec tym się głównie charakteryzuje, że ogromnie chciałby coś odkryć. Ja też chciałem coś odkryć. Problem polegał na tym, że wiedziałem jedynie to, o czym wiedzieli również inni, na ogół lepiej ode mnie, więc nie mogłem tego odkryć. Z kolei nie mogłem odkrywać tego, o czym nie wiedziałem, to chyba jasne. Paskudna sytuacja. Szukając gwałtownie, co by tu, cholera, odkryć, zwróciłem uwagę na Muzeum Lenina; zafascynowało mnie zjawisko wielkiego zapotrzebowania na tubylców, którzy pamiętali wodza rewolucji i rozmawiali z nim. Potrzeby w tym względzie były tak ogromne, że przyjmowano entuzjastycznie każdy gest dobrej woli. W Muzeum Lenina widziałem notatki z badań terenowych, z których wynikało, że górale urodzeni w dziewiątym, dziesiątym, jedenastym roku prowadzili z Leninem w 1914 roku długie dysputy, które powtarzali słowo w słowo w roku pięćdziesiątym albo sześćdziesiątym którymś. Nie mam zamiaru z tego szydzić, nie posądzam autorów tych notatek o walenrodzizm czy o gorliwość idioty, a górali o mentalność dobrego wojaka Szwejka, gorzej: obie strony posądzam o autentyczną dobrą wolę, którą i ja noszę w sercu i jestem z tego dumny. Mamy tu chyba do czynienia z wyjątkowym przcestem dobrej woli. Jest to również ilustracja ciekawego zjawiska — oto gdy nasz zdrowy rozsądek i starogrecka logika stają nam na drodze w osiągnięciu upragnionego celu, jednym zdecydowanym ruchem odsuwamy je na bok. Czy to w końcu ważne, że człowiek urodzony w 1910 roku wiosną 1914 roku miał miał trzy albo cztery lata i nie był dojrzały intelektualnie do wymiany poglądów z Włodzimierzem Iljiczem? Czy to ważne wobec faktu, że mamy to, czego pragnęliśmy tak bardzo?

W roku sześćdziesiątym siódmym kierowniczką Domu Lenina w Białym Dunajcu była pani Michałowska. Od czasu do czasu wpadała do nas do Muzeum Tatrzańkiego, przede wszystkim żeby się wygadać. Skarzyła się pani Sredniawie, która cierpliwie kiwała głową, że Lenin to wcale nie taki lukratywny temat jakby się komu wydawało, a ludzka bezczelność przechodzi wszelkie granice; zamówili u niej w redakcji (nie dosyssałem, w której) tekst rocznicowy, wydrukowali, a gdy się dopominała o pieniądze, odpisali, że Nadieżda Krupka uważała dzieła Lenina za własność całej ludzkości, więc nie przyjmowała za nie honorariów i pani Michałowska winna postąpić tak samo.

Odwiedziłem ją w Białym Dunajcu. Dom Lenina wydał mi się bardzo interesujący, przede wszystkim jako świadectwo stosunku polskich inteligentów do tradycji ludowej. Dla inteligentów wszystko co góralskie jest zarazem archaiczne, odwieczne. Ten pogląd obowiązywał jeszcze za moich czasów; wyposażenie Domu Lenina, od płotu aż do krzesel i ryzowanych gablot, wykonane było w stylu cepeliowskim lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych przez twórców ludowych, których znałem osobiście. Można przypuszczać, że autorzy ekspozycji chcieli odtworzyć nastrój z czasu pobytu Lenina, ale przy okazji udokumentowali fakt, że nie dostrzegają różnicy między góralską chałupą sprzed pierwszej wojny światowej a sklepem Cepelii. To jakby nie widzieć różnicy między gotykami a neogotykiem. Ekspozycja w Białym Dunajcu nie jest więc rekonstrukcją wnętrza z czasów Lenina, lecz ilustracją naszego braku poczucia czasu i naszego stosunku do kultury ludowej. Nikomu nie przyszło do głowy, że od 1914 roku sztuka góralska przeszła znaczną ewolucję, dowodziłem. Pani Michałowska spojrzała na mnie z macierzyńskim ciepłem. Młody człowieku, czy naprawdę nie ma pan większych zmartwień?

Odczepiła sznurek i weszła do p. o. sypialni państwa Uljanowych. Uklękła, zanurzyła rękę pod łóżko i wyciągnęła pękaty skoroszyt. Gdy jesienią 1956 roku Muzeum Lenina przechodziło socjalistyczną odnowę, mówiła, a tow. Zrosta, twórca i dyrektor tej placówki, wywieziono za bramę na furzyku, czyli na taczkach, pożyczonych naprędce od sąsiada, który parę godzin wcześniej woził nimi gnój, urzędowe papiery zachowały się jak obyczaj nakazuje: wyfrunęły z segregatorów i wały się po pejzażu, więc pani Michałowska zgarnęła chyłkiem co się dało i wzięła sobie na pamiętkę. Czytałem całą wieczór, nictórych fragmentów nauczyłem się na pamięć, więc mogę teraz zacytować.

Daty nie pamiętam: między pięćdziesiątym a pięćdziesiątym czwartym rokiem. Protokół z operatywki pracowników Muzeum Lenina. Temat: postawa moralna tow. Żmudy. Zagaja tow. Zrost: Jak towarzysze wiecie, przy naszym muzeum istnieje biblioteka marksizmu-leninizmu. Karta tow. Żmuda jest czysta, tow. Żmuda nie korzysta z biblioteki. Widocznie uważa, że już zjadł wszystkie rozumy i nie potrzebuje się dokształcać. Natomiast nie jest żadną tajemnicą, że tow. Żmuda przyjmuje do siebie na noc kobiety. Nie jest to jedna kobieta, lecz kilka, tow. Żmuda postępuje wobec nich nieuczciwie, bo przecież nie ożeni się z nimi wszystkimi. Tow. Żmuda powinien kłaść mniejszy nacisk na kobiety, a większy na podnoszenie swej świadomości członka partii. Tow. Żmuda (arogancko): Co ja robię w nocy to moja sprawa prywatna. Tow. Zrost (łagodnie): sprawa prywatna, ale mieszkanie służbowe. Ale nie w tym rzecz. My, pracownicy Muzeum Lenina, jesteśmy wzorem dla okolicznej ludności, stoimy na moralnym świeczniku. Co będzie, jeśli okoliczna ludność zacznie brać przykład z tow. Żmudy? I kto będzie odpowiedzialny za ten stan rzeczy?

Dalej zapomniałem; pamiętam tylko tyle, że dano tow. Żmudzie sześć miesięcy na uzupełnienie wiedzy z marksizmu-leninizmu i powołano trzyosobową komisję, która miała to wyegzekwować.

Inne pismo, z tego samego okresu: Do Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Nowym Targu. Dzisiaj w naszym muzeum dokonano aktu wrogiej roboty. Nieznani sprawcy wpisali do księgi pamiątkowej, że wystawa jest nudna.

Czytałem to na głos, śmiałem się, pani Michałowska też się śmiała i zapewniała, że te pisemka zostały uratowane przypadkowo i niczym nie różniły się od tych, które przepadły. Skoro pp. archeologowie na podstawie kilku glinianych skorup odtwarzają pradawną kulturę razem z jej wierzeniami i systemem społecznym, to chyba na podstawie tych kilkudziesięciu pisemek można będzie po latach wyrobić sobie ogólniejszy pogląd na epokę, rozmarzyła się. Owszem, mówiłem, ale z tym zastrzeżeniem, że też archeologa może wzbogacić lub obalić jedynie inny archeolog, który podlega takim samym obciążeniom jak ten pierwszy, więc z rekonstrukcją bohaterkiej młodości tow. Zrosta mogą być niejakie kłopoty.

W 1967 roku, gdy sprowadziłem się do Zakopanego, pełnił on funkcję sekretarza ideologicznego Komitetu Miejskiego PZPR. Opowiadano o nim złośliwości, za którymi czał się strach.

W 1970 r. został dyrektorem Muzeum Tatrzańkiego. Mianowanie akurat jego było straszliwym chamsstwem, a mnie dodatkowo sprawiało dużą przykrość, gdyż w tej sytuacji nie było już dla mnie miejsca w muzeum i musiałem opuścić Podhale. Plotkowano w Zakopanem, że tow. Zrost został skierowany do muzeum, bo towarzysze mieli go serdecznie dość i dali mu kopa. Kultura, jak wiadomo, była wówczas przechowalnią, lodówką względnie zesłaniem dla towarzyszy, którzy akurat popadli w niełaszkę; kierowano ich do kultury bez obawy że naszkodzą, bo przecież robić w kulturze każdy dureń potrafi.

Tow. Zrost dzielnie zniósł degradację i również w nowym miejscu starał się służyć partii, jak umiał najlepiej. Najpierw kazał usunąć z gabinetu góralskie obrazki na szkło, bo miały tematykę religijną. Potem kazał usunąć z ekspozycji rzeźbiony uł w postaci świętego Ambrożego i zastąpić go ulem w formie niedźwiedzia, z tego samego powodu. Jego pierwszą decyzją personalną na nowym stanowisku było przyjęcie mojego wyświadczenia.

Po latach przyjechałem do Bukowiny z przyjaciółmi. Myślałem, że nikt mnie nie rozpozna. Siedzimy w karczmie na Klinie, zamawiamy pięć razy bigos, bufetowa mówi, że bigosy są ino styry. Zastanawiamy się co robić, aż tu bufetowa pochyliła się nade mną i szepce: nie bier-ze tego, Jantuś, niek se panowie sami żrejom. Nie przyznałem się, dlaczego zamawiam tylko chleb z masłem, chcieli się ze mną dzielić tym bigosem, martwili się że będę głodny, siedziała tam między nimi moja dziewczyna, patrzyłem jak je i było mi cudownie, jak to wspaniale być prawdziwym góralem, gdy się nim nie jest. Bufetowa, moja szkolna koleżanka, płuła kufle.